Nr. 31. We Lwowie dnia 31. Lipca 1898. Rok 6.

TYDZIEŃ

Dodatek literacki „Kurjera Lwowskiego“

pod kierownictwem Bolesława Wysłoucha.

Z tragedji śmiechu.

I śmiech miewa swoje tragedje — rzecz to wiadoma. Bywa, że człowiek, który śmiechem swoim bawił społeczeństwo, sam życie miał ciernistе, że ginął tragicznie, a w dziełach jego, po śmierci nawet, jakby z zagrobu dolatywały echa szczerego, niekrępowanego śmiechu. Bywa też, że sztuka takiego artysty jest zapoznawaną. Wszyscy go wprawdzie znają, wszyscy z niego czerpią, obejść się bez niego nie mogą, ale postawić go na równi z artystami, którzy, chociażby nudnie, lecz za to „poetycznie i ustawicznie płaczą?! — nie! toby był za wielki „skandal“...

Przed paru zaledwo tygodniami, byliśmy we Lwowie świadkami zakończenia takiej właśnie podwójnej tragedji: umarł artysta-malarz, słynny ze swoich rysunków humorystycznych Bruno Tepa.

W wysokiem tem, chudem, zgarbionem ciele o tak zbolałym wyrazie twarzy, iż pozanim niktby się humoru nie domyślał, o tak cienkiej szyi, jakby lada chwila złamać się miała pod ciężarem głowy, żył taki zasób artystycznego talentu, iż odnosiło się wrażenie głębokiej tragiczności, gdy patrząc na tego człowieka przypomniało się sobie, iż nieuleczalna i nieubłagana choroba piersiowa z dniem każdym zbliża zgon jego.

Aż wyciągnęła wreszcie kościstą rękę i zgasiła to wesołe światło.

Była jednak w życiu Brunona Tepy i druga tragiczność, było to owe wspomniane na wstępie niedocenienie w uznaniu, owo tragiczne dla niego zapieranie się przez społeczeństwo w samem sobie przeświadczenia, że ma przed sobą znakomitego, niepospolitego artystę.

U nas bowiem ceni się jeszcze sztukę wedle normy owego dorobkowicza, w jednej z rysowanych humoresek (o ile pamiętam właśnie Tepy), który oburzony na malarza, iż śmiał mu proponować portret wodnemi farbami, prosi owszem by oleju nieżałował, bo „stać go“ przecie na to! U nas rangi w malarstwie oznacza się wedle ceny materjału. Przecież ołówek, albo węgiel mieć może lada „baciarz“ (przepraszam za lwowską „plastyczność“ stylu). Wodne farby, to już coś przecie, chociaż wody dostarczy stróż, aż dwie konewki za 3 centy. Dopiero olej daje malarzowi prawo do nazwy artysty, zwłaszcza jeżeli zasmarować potrafi nim płótno, conajmniej wielkości siennika!

Więcej aniżeli publiczność, która przecie sympatjami swemi wyłamuje się niekiedy z pod niedorzecznej formułki, winni są tu ludzie, którzy bez odpowiedniej inteligencji i wykształcenia biorą się do krytyki artystycznej, którzy n. p. nawet w nekrologach Tepy, dlatego tylko nieodmawiali mu artyzmu, że ich zdaniem „rwał się do wyższego rodzaju sztuki“ t. zn. do akwareli.

Wyższy rodzaj sztuki! — to klasyczne głupstwo stylowe, wygnane już z krytyki literackiej, gdzie nareszcie przyznać musiano, że każdy rodzaj twórczości jest równy, że można być równie a nawet więcej genialnym pisząc drobne wierszyki, jak grube tomy, że w każdym „rodzaju“ można dojść najwyższego szczytu, owóż ten dziwolong stylowy, którego zadaniem jest pokryć brak myśli u piszącego, błąka się jeszcze ku naszemu utrapieniu w krytyce malarskiej.

Ależ Tepa był znakomitym, niepospolitym artystą! mimo, że nie malował obrazów, był zjawiskiem świetnem, chociaż „tylko“ służył śmiechowi, a był nie przez owe rzekomo „wyższe“ artystyczne akwarele swoje, które ostatecznie utoną w szeregu równie dobrych a nawet lepszych, lecz właśnie przez rysunki humorystyczne, które pozostaną w dziejach naszej sztuki trwałym dokumentem.

Do malowania dobrych nawet akwareli można doprowadzić przy bardzo miernych zdolnościach, ale na rysunki humorystyczne Tepy trzeba było tak wybitnego talentu, jak był jego, jakiego dotąd w Polsce nie mieliśmy.

Dosyć często, choć mylnie, nazywano Tepę karykaturzystą, którym on wcale nie był, a nawet być nie usiłował. Był to bowiem najczystszej wody malarz, względnie rysownik-humorysta.

Karykaturzysta bowiem z rzeczy, najmniej mającej wspólnego ze śmiechem, przez stosowną przesadę i uwydatnienie w jednych szczegółach, zatarcie zaś innych wywołuje efekt komiczny. Tepa natomiast najczęściej nic niekarykaturował, nie przesadzał, brał życie takiem, jakiem jest, z całą sumiennością, jednakże umiał wybierać jego momenta i sytuacje, które w codziennem życiu w powodzi wrażeń giną wprawdzie, mimoto posiadają siłę rozśmieszania, jeśli się je z talentem wyosobni. Drobny przykład: nikomu dajmy na to, nie przyszło na myśl bawić się widokiem chudych szkap fiakierskich, karmiących się skąpym obrokiem; ale jeżeli Tepa wyrysował fiakierskiego konia jak podrzuca woreczkiem, który mu na pysk nałożono, aby dostać się do resztek obroku na dnie, ludzie poprostu boki zrywali ze śmiechu.

Rysownik-humorysta ma tę przewagę nad karykaturzystą, że podczas, gdy ten się łatwo wyczerpuje, humorysta trzymając się coraz nowych objawów życiowych, coraz nową znajduje podnietę dla swej twórczości. Zwłaszcza zaś, gdy jestto rysownik tak sumienny i tak realistyczny jak Tepa. Zdawało się zapewne ogółowi, że on „machał“ sobie rysunki ot tak od ręki, z fantazji, nie dbając o naturę, tymczasem było przeciwnie. Tepa ułożywszy sobie w głowie plan rysunku, jeśli mu trzeba było jakiegoś nowego gestu, jakiejś pozycji ciała, póty chodził po cukierniach, spacerach i. t. p., aż zoczywszy kogoś w odpowiedniej pozie, natychmiast go naszkicował. Zdarzało się, że takie przygotowania do jednego numeru pisma, które ilustrował, zapełniało całą tekę rysunkami rąk, nóg, postaci, twarzy min i t. p.

A przytem posiadał niezrównaną miarę, w utrzymywaniu się na wąskiej granicy pomiędzy zabawnem a niesmacznem, na której najzdolniejszym humorystom tak trudno się utrzymać. Najlepiej da się to ocenić znowu na przykładzie. Śmierć dajmy na to, nie jest wcale rzeczą zabawną. W chwili, w której życie gaśnie, nikomu na śmiech się nie zbiera i żarty na ten temat bywają niesmacznymi, grubiańskimi konceptami. Ale jeżeli ktoś potrafi przedstawiając grozę śmierci uczynić ją równocześnie nieprawdopodobną, tem silniejszy efekt komiczny będzie zapewniony. Tepa więc, rysując przypuśćmy katastrofę kolejową, dał osobom, które nibyto jej uległy, twarze osób żyjących, codziennie na ulicach widywanych, czem już odebrał całą grozę kompozycji i podrażnił muszkuły śmiechowe. Nadto, nie przedstawił widoku poszarpanych członków i krwi rozlanej, ale wyrysował tych ludzi pokrajanych na plasterki niby marchewka wprawną ręką kucharki i stworzył rysunek, na który niepodobna było patrzeć się, nie wybuchając szczerym, wesołym śmiechem.

Tepa wogóle był jakby plastycznym wykonawcą zasady, wypowiedzianej przez poetę w dwuwierszu:

Śmiech jest dobry, śmiech jest zdrowy,
Uspokaja chore nerwy...

a był wykonawcą niezrównanym. Dziś zabrakło go — odszedł, pozostawiając po za sobą fale „dobrego“, „zdrowego“ śmiechu, chociaż sam był jedną z tragicznych poprostu postaci. Pamięć po nim nie rychło zginie, bo nierychło znajdzie się godny jego następca.

Jan Zgoda.

Listy Kornela Ujejskiego

do T. S.

Pawłów, 7. czerwca 1885.

Kochany Panie T.

Nie miała baba kłopotu etc., — a ja zabrałem się do pisania poeji, której obecnie nikt nie chce. Jest jednak nadzieja, że »Grzela« wyjdzie w taniem wydaniu dla ludu, nie tu, nie tu, ale w Poznaniu. Chciałbym, aby, jak słuszna, wydanie było jak najtańsze — więc proszę kochanego Pana donieść mi ile was kosztuje książeczka 7—8 arkuszowa »Wydawnictwa ludowego«. Nie chciałbym, aby wydawca z kieszeni ludu ciągnął większe zyski dla siebie za moją pracę, którą daję darmo. Sam oznaczę cenę, która ma być wybitą na książeczce.

Za zrobioną mi nadzieję, że będę miał zapiski dowódzcy Kurpiów w r. 1863, całem sercem wdzięczny Panu jestem. Z upragnieniem oczekiwać ich będę.

Wzmianka o tem, że cesarz Ferdynand w r. 1846 (jak było istotnie) o rzezi galicyjskiej nic albo mało co wiedział, była w »Grzeli« napisaną w duchu antimonarchicznym. »Cesarz nic nie wiedział — i człek spokojny w swoim

burgu siedział«. Ale kiedy ta ironja, jak mi Pan doniosłeś, wzięta była inaczej, nawet jako uniewinnienie — więc tembardziej lud jej nie zrozumie — i wymazałem to w tekście. Szerzej nie pora teraz mówić ludowi, czem jest władza monarchiczna a republika. Naprzód bądźmy, a potem urządzajmy się.

Nie mogę przyjąć uwagi »Kongresowiaków«, że należało wspomnąć o ucisku ludu przez szlachtę. Osłabiłbym tem myśl całego poematu. A zresztą ucisk indywidualny niektórej szlachty był wyjątkowym. Urodziłem się z rodziców, którzy i dla ludu byli rodzicami. Ucisk był szlachcie przez rząd narzuconym — bo jej rękami wybierał on kasztany z ognia: Podatki i rekrutów.

Prosząc o łaskawą spieszną odpowiedź na zapytanie o koszcie, odnoszącym się do wydania ludowego »Grzeli«, przesyłam kochanemu Panu wyrazy szacunku i szczerej przyjaźni.

K. U.

* * *

Wygnanka Górna
p. Czortków 13/10 1891.

Kochany Panie T.

Zdaje mi się, że moje publiczne przemówienia, których część jeden z księgarzy lwowskich zebrał i wydał w r. 1877 p. t. »Żywe słowa Jeremiego«, a są, według mego przekonania, dopełnieniem skarg, mogłyby działać korzystnie na umysły tej warstwy społecznej, dla której założyliście Towarzystwo im. Staszica. Mając ten cel na oku, chętnie zapominam o różnych przykrościach, jakiemi dotykał mnie redaktor wydawnictwa po wydrukowaniu »Skarg«. Dam przemówienia darmo, tak jak dałem Skargi, jednak pod tym warunkiem, abym mógł rozmówić się tylko z Panem i ustnie.

Jeźli Towarzystwo przyjmie moją propozycję — czy nie mógłbyś Pan na jeden dzień do mnie przyjechać? Mieszkam o pół mili od stacji kolejowej w Czortkowie. Wyjechawszy na noc w sobotę, możesz być w poniedziałek w południe z powrotem. Za poprzedniem uwiadomieniem czekałyby konie na stacji czortkowskiej.

Wiem z gazet, że niedawno temu miałeś odczyt o wartości pism moich. Wdzięczny jestem Kochanemu Panu za ten dowód jego przyjaźni. Radbym wiedział, co mówiłeś. Ściskam Cię, kochany Panie T. serdecznie. Szczery Twój przyjaciel.

K. U.

* * *

Wygnanka 5/11 1891.

Kochany Panie T.

Proszę, abyś był łaskaw nabywać i przesyłać mi numera tych dzienników, w których umieszczą moją mowę o ludowych szkołach i te numera, w którychby omawiano sprawę, którą poruszyłem. Krótko piszę, bo bardzo jestem zajęty. Serdecznie kochanego Pana pozdrawiam.

K. U.

* * *

Wygnanka 29/1 1893.

Kochany T.

Straszne nieszczęście, jakie spadło na ciebie i Twoją rodzinę, przeraziło mnie. Bolałem i boleję z Tobą. Tylko z gruntu źli ludzie, zawsze chętni do deptania powalonych, mogą upatrywać choćby najmniejszą część winy w Tobie. Chory jestem ciągle, z łóżka piszę. Przyjmij zapewnienie mego szacunku i najszczerszej życzliwości.

K. U.

Lili.

ŻAŁOSNA IDYLLA

przez

Władysława St. Reymonta.

(Ciąg dalszy.)

— I Kos ma rację, bo niema już kogo naciągać! Utop się, synku, bo i tak zatłuką cię na bilardzie, tak! — odpowiedział zgryźliwie Feluś.

— Trzeba radzić, a nie popisywać się dowcipami.

— Todzio przemówił! szpaczek się odezwał. Jaki on śliczny ten mąż pani Szalkowskiej, musi go karmić samemi bakaljami.

— Todziu! Pan się mnie nie czepiaj!

— Todziu pilnuj się, chłopaczku, bo możesz stracić miejsce.

— Daj spokój Kos, zawiele sobie pozwalasz cóż znowu! — szeptał trwożnie Todzio.

— Może który z panów zagra benefis! — zaproponowała Korczewska.

— Dobra myśl! Tylko co grać i kto benefis weźmie? Okolica już jest potężnie wypleniona,

przecież Stobek grasował tutaj przez dwa mie siące.

— Będziemy grać składanki! Dobrze! Panie Zakrzewski, siadaj pan, piszemy natychmiast afisz, da się do podpisu, odlitografujemy i hajda na wieś z biletami, to jedyny ratunek! — woła Korczewski, który już skończył jeść chleb.

Zakrzewski usiadł przy stoliku i czekał.

— Pisz pan »Za pozwoleniem zwierzchności«. »Ostatnie pożegnalne przedstawienie na ogólne żądanie«. Datę się wpisze.

— Co za sztuki będziemy grali?

— Jest »Czuła struna«, »Piosnka wujaszka« i »Icek zapieczętowany«, doda się jaką deklamację, mazur w cztery pary, i będzie dobrze.

— Pierw się utopisz, Korczewski, niż na taki afisz weźmiesz publiczność, tak!

— A gdzież się grać będzie?

— W hotelu jest pusta duża stajnia, ustawi się scenę, ściany okryje świerkami, kandelabrami, i jakoś tam będzie.

— A dekoracje?

— Psia kość słoniowa, zapomniałem na śmierć! Trzeba jakoś zrobić..

— Z czego i za co! Człowieku! nikt groszem nie śmierdzi.

— Co tu zrobić? — zamyślił się i, wsadziwszy wedle zwyczaju palce w usta, chodził prędko i rozmyślał; naraz przystanął i rozjaśnionym głosem zawołał:

— Zrobimy dekoracje! Kto ma jakie prześcieradła i ręczniki, słowem coś, z czego będzie można zrobić tylną ścianę i kulisy, to proszę o zadeklarowanie. Kurtynę zrobi się z portjer, hebesy przecież pożyczą. Korniszon namaluje pokój, i będzie cudnie, no, tylko galopem!

— Niech Kos zagra benefis, on ma dużo przyjaciół.

— Jak Boga kocham, to niemożebne! Jakże ja się pokażę na świat w swoich lakierkach, w których tylko uszy są niepodarte, a mój ibercyerek co?

— Feluś niech zagra — proponowała Gałkowska.

— Tak, ale nie, bo Feluś w swojej almawiwie mógby się tylko powiesić uroczyście, a zresztą mnie się nigdy benefisy nie udawały.

— Graj pani z Jańciem — szepnął Korczewski.

— Co? Może w tym płaszczyku pojadę? Nie chcę zmarznąć, ani też narażać się na urągowisko!

— Todziu, zagraj ty z żoną, macie tyle znajomości! — błagał już Korczewski.

— My niemożemy grać dla wielu przyczyn, ale ja mogę w mieście kilka biletów sprzedać — tłumaczyła żywo.

— Więc kto zagra benefis?— wołał Korczewski, wodząc wzrokiem po twarzach i garderobie zebranych. — Korniszon nie może, bo nie ma również palta, Oleś palto ma, ale nikt go nie zna.

— Niech zagra pan Zakrzewski! Ma elegancką garderobę, umie mówić po francusku, wie, jak się mówi z dziedzicami — zaproponowała Korczewska.

— Nie mogę, nie mogę! Mogę jeszcze natrafić w tej okolicy na jakiego kuzyna lub znajomego, a nie! Chciejcie panowie zrozumieć moje położenie.

— Nie chcesz pan ratować towarzystwa?

— Chciałbym, ale w ten sposób niepodobna, a zresztą nie znam okolicy, nie wiem nawet, jak się to robi.

Tłumaczył się miękko, bo zobaczył proszący wzrok Lili.

— Ja panu pomogę, pojadę z panem! No, musisz pan, mój królu złoty! Pan jeden masz garderobę i podobny jesteś do człowieka! Proście go, panie! — zawołał Korczewski.

Zakrzewski, pomimo próśb całego towarzystwa, opierał się dosyć długo, ale, skoro w końcu przyszła Lili i bardzo cichutko zaczęła prosić, nie mógł się oprzeć i zgodził się.

— Pisz pan afisz w dalszym ciągu, panie Zakrzewski: »Wielkie pożegnalne przedstawienie na benefis p. Leona Zakrzewskiego, art. dr. teatrów lwowskiego i warszawskiego«.

— Dajże pan spokój, nie byłem nawet w Krakowie ani we Lwowie.

— To nic, panie, to dobrze robi na afiszu, ładnie brzmi.

— Benefis grać mogę, ale na taką blagę się nigdy nie zgodzę.

— Z pana jest bardzo porządny szlachcic ale bardzo... blondyn. Cóż to panu szkodzi mniej—więcej? Egzaminu pan zdawać nie będzie, ani do kozy pana nie wsadzą za tytuł aktora lwowskiego. Pisz pan.

Zakrzeski napisał wreszcie, zżymnąwszy ramionami.

— Jakież sztuki gramy?

— Zaczekaj pan. Przyszła mi myśl mniej-więcej. Na jednoaktówki nie polecą, to prawda. Mazur w cztery pary — dobrze, ale co więcej.

Ukrajał znowu kawał chleba, łamał go, jadł i biegał po pokoju coraz prędzej.

— Co więcej? Trzebaby dać coś z wielkiego repertuaru, coś, co grywają w Warszawie lub w Paryżu, coś, o czem piszą obecnie i mówią. Dlategośmy się przecież rozbili, żeby nie grywać »Młynarzów i kominiarzów«.

— Powieś się z tym swoim wielkim repertuarem! Zkądże go weźmiesz?

— Ty nie jesteś mądry, Feluś, nie! Cóż to, myślisz, że w tej podłej Kiernozi chcę zagrać »Hamleta« czy inną jaką głośną szopę? Mnie potrzeba tylko głośnej sztuki na afisz, na przynętę dla tych hebesów.

— Nic nie rozumiem — szepnął Zakrzewski, kładąc pióro.

— Nic pan rozumieć nie potrzebujesz, pisz pan: »Gniazdo rodzinne«, dramat Sudermanna, grywany z niesłychanem powodzeniem na scenach całego świata. Osoby: Zaczekaj pan, jakie tam u djabła występują osoby?...

Zamyślił się i znowu biegał po pokoju.

— Zobacz pan w egzemplarzu, pocóż z pamięci?

— Ha! ha! Pan jesteś, panie Zakrzewski... jasny blondyn, ha! ha! Ja nie tylko nie mam egzemplarza, ale nawet afisza z tej sztuki nie widziałem na oczy, czytałem tylko o niej w pismach.

— Więc jakże u Pana Boga możemy ją zapowiadać i grać!

— Któż mówi o graniu? My ją zapowiemy, a przed samem przedstawieniem, kiedy już teatr będzie pełny, kiedy pieniądze będą w kieszeni, zaanonsuje się, że, z przyczyn od nas niezależnych, sztuki tej grać nie możemy, a natomiast zagramy trzy jednoaktówki, zakończone mazurem! Co planik zły?

— Plan dobry, spektakl napewno będzie nabity, ale co publiczność powie?

— Publiczność to wielkie stare cielę, obiecać mleka — przyleci; dać w to miejsce serwatkę — pobeczy, powierzga, ale wypije w końcu. Pisz no pan osoby.

— Zbabrze nas potem w pismach jaki skryba za taki kawał — mruczał Feluś, chwytając się za nos.

— Dużo nam zrobi, przecież nikt z nas gazet nie czyta! Pisz pan osoby: Magda Szulc, śpiewaczka. — Co trzeci niemiec jest Szulcem. To dobrze, ale więcej nic nie pamietam! Psia kość słoniowa! Poszła na scenę, potem powróciła do domu, ojciec umarł mniejwięcej, tyle tylko pamiętam z recenzji. Śpiewaczka! Więc musiała mieć bębenka, arystokratę, barona albo hrabiego, wojskowego, niema przecież sztuki niemieckiej bez lejtnanta— kombinował Korczewski, stukał palcem w czoło, zacierał ręce, aż zawołał:

— Pisz pan: »Herman von Altona-Meklemburg, baron, kapitan huzarów, kochanek Magdy«, »Gretchen, pokojówka Magdy«. Przecież wielka śpiewaczka nie może być bez pokojówki. A może dać kamardynera? To lepiej wygląda. Nie, niech zostanie Gretchen. A teraz, teraz... Otylja, śpiewaczka, współzawodniczka Magdy, dawna kochanka barona. Tak, tak, doskonale, przecież baron musiał mieć i dawniej kochanki, z tego robi się zazdrość, scena gwałtowna z Magdą, Magda robi wyrzuty baronowi, ten klęka, tłumaczy sie, przysięga, że tylko ją jedną kocha! Ślicznie, cudnie!

Zaczął zacierać ręce i śmiać się z zadowolenia.

— Nie śmiej się, Lili, widzisz ją, o! — zawołał zmieszany, bo dziewczyna aż kładła się na koszu ze śmiechu, taki był komiczny, gestylkując i grając już ten schemat komedji wymyślonej, przyczem każde słowo ilustrował ruchami i mimiką bardzo zabawną.

— Ponieważ powracała do domu, więc musi być jakiś ojciec, surowy, groźny, pastor, dajmy na to; jakaś matka skora do przebaczenia; jakaś młodsza siostra, jakaś ciotka, jakiś młody, ubogi krewny, kochający się w młodszej; jakiś pan wielki, który mógł Magdę uwieść i przez niego uciekła z domu; dodać jeszcze paru młodych ludzi i będzie dobrze: Pisz pan: Jochan Szulc, pastor, ojciec Magdy; Joanna matka; Klara młodsza siostra; pani Rauchbinder, ciotka; Ferdynand Müller, kuzyn; hrabia Wilhelm von Szweryn, baron von Herberstal-Oldenburg. Oto dosyć.

— Meklemburg, Szweryn, Oldenburg! Cała obora zarodowa! — śmiał się Zakrzewski, przepisując afisz na czysto.

— Gotowe! Moje złote panie, te prześcieradła, jak tylko można najpredzej, z kosztów się zwróci. Trzeba, żeby je Korniszon zaraz zaczął pacykować.

— Tak, gotowe, dajno Korczewski, rubla *à conto*, bo zdechnę ci przed przedstawieniem.

— I mnie musisz dać, bo przecież w takich butach grałbym nie mógł.

— To i o nas niechże dyrektor nie zapomni. Jańcio zarobi laubzegą, to oddamy.

— Dobrze, dobrze, robaczki, cudnie, tylko, jak was kocham, mniej więcej mam rubla, całego rubla w kieszeni — tłumaczył się Korczewski bardzo gorąco, bo zaczęli się rzucać i dogadywać, ale uspokoił wszystkich Zakrzewski.

— Ja mogę państwu pożyczyć piętnaście rubli, do podziału, oddacie mi po przedstawieniu! — zawołał, dając pieniądze Korczewskiemu.

— Rzepa, nie chłop, tak! Powieś się, Zakrzewski boś głupi — szepnął mu do ucha Feluś, ściskając równocześnie bardzo silnie jego rękę.

— Kto będzie przechodził koło mieszkania Korniszona, to może mu zaniesie pieniądze i powie, żeby natychmiast przyszedł do mnie — powiedział Korczewski, rozdzielając pieniądze.

— Ja mogę wstąpić — ozwał się Zakrzewski.

— Może pan mnie odprowadzi, panie Leonie, bardzo proszę, mam nawet do pana interes — szepnęła mu cicho piękna Szałkowska, ogarniając go powłóczystem spojrzeniem.

— Teraz nie mogę, przyjdę wieczorem, jeśli pani chce koniecznie.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Krytyka powieściowa i stowarzyszenia do czytania powieści w Anglji.

2)

Wioska Bakwort, zaludniona przez górników, leży prawie na brzegu północnego morza niemieckiego w Nortumberlandzie w Anglji wschodniej. Jest to jeden z niewielkich ośrodków przemysłu węglowego, takich centrum znajduje się w tej miejscowości dosyć. Gdy w r. 1879 rozpoczęła swoją działalność instytucja, mająca na celu rozpowszechnianie oświaty wśród ludu, tak zwane uniwersytety ludowe (University extension), wioska przyjęła życzliwie ów nowy, a dobroczynny przejaw społecznej samozaradności. Odtąd rozpoczęły się kursy rozmaitych przedmiotów. Węglarze Nortumberlandzcy więcej od innych górników byli uzdolnieni do korzystania z tych lekcji. Przedstawiali bowiem ludność osiadłą, odznaczali się tą przenikliwością, rozumem i miłością wiedzy, które charakterezuje północną ludność Anglji. W danej miejscowości istniały nietylko szkółki elementarne, ale i naukowe, techniczne zakłady oświaty i kursa. Oto przykłady, wykazujące do jakich postępów doszli niektórzy z robotników, dzięki jedynie swym zdolnościom i wytrwałej pracy. — Pewien węglarz, który nie odebrał nawet elementarnego wykształcenia i od dziecka pracował w czeluściach kopalni, potrafił zdobyć wybitne wiadomości z niektórych gałęzi literatury angielskiej. Dwaj inni wykształcili się na biegłych geologów i uzbierali sobie piękne kolekcje ryb kopalnych i innych skamieniałości formacji węglowej. Jeden z nich z wielką zręcznością i sztuką wygotował bogatą kolekcję preparatów mikroskopijnych. Jego wiadomości z geologji danej miejscowości tudzież paleontologji były wprost niezwykłe, zwłaszcza jeśli się weźmie pod uwagę trudności, które miał do przezwyciężenia. A oto przykład. Po jakimś mitingu, ktoś wspominał w rozmowie o książce Whevell'a „Historja nauk indukcyjnych": — „Ach, już oddawna chciałem mieć tę książkę — wykrzyknął jeden z obecnych węglarzy. Mill nie zgadza się z pewnemi myślami, w niej zawartemi, ale, o ile mogę sądzić, Mill nie ma racji".

Wiosną 1890 r., podczas wykładów z literatury, odbywających się w Bakworcie, lektor wspominał o ważnem znaczeniu lepszych klasycznych utworów literackich dla wykształcenia i prawidłowego rozwoju. Powieści czytano i tu wiele, ale bez żadnego wyboru i systemu, gdy więc rzucono myśl założenia towarzystwa, którego celem byłoby odczytywanie i studjowanie powieści klasycznych, jako „podręczników życia" powitano ją nieledwie z entuzjazmem.

Inicjatorowie sprawy, którzy postanowili założyć: „Związek dla czytania klasycznych utworów w Bakworcie i jego okolicy" wydali następującą odezwę:

„P o w o d y z a ł o ż e n i a z w i ą z k u: literatura jest nauką życia, a klasyczne dzieła powieściowe, na równi z innymi utworami są wybornymi mistrzami życia. Studjowanie ich, przedstawia istotne antydotum przeciwko lichym i szkodliwym wytworom księgarskim.

„C e l e m z w i ą z k u jest zachęcać do systematycznego czytania powieści. Co miesiąc czyta się jedną powieść, zwykli czytelnicy powieści po odczytaniu wydają ustnie swój sąd, a specjalnie ku temu wyznaczeni piszą o niej referaty, które się odczytują na zebraniach.

„P l a n d z i a ł a n i a: 1) w początkach każdego miesiąca, do każdego członka posyła się list otwarty ze wskazaniem: *a)* powieści wybranej do czytania, *b)* głównych jej myśli, na które według zdania kierowników, wybieranych z pośród osób znających literaturę, należy zwrócić uwagę przy czytaniu i *c)* czas i przedmiot obrad najbliższego zebrania członków; 2) wszystkie osoby wstępujące do związku, czytają w ciągu miesiąca wskazaną powieść i od czasu do czasu starają się pomówić o niej ze znajomymi; 3) wszyscy członkowie bywają zapraszani na posiedzenie związku; 4) na porządek dzienny posiedzeń składają się: *a)* czytanie i omawianie referatów, *b)* komentowanie trudniejszych lub dla kogokolwiekbądź niezrozumiałych ustępów, *c)* dyskusja wypływająca z treści odczytanego uworu; 5) w początkach każdego miesiąca odbywa się jedno obowiązkowe zebranie; inne zaś tylko w razie potrzeby, na życzenie członków lub uchwały zarządu. Zebrania mogą się odbywać dla dogodności członków w różnych miejscowościach okręgu".

C z ł o n k o w i e i z a r z ą d: 1) Członkami mogą być zarówno miejscowi jak i okoliczni mieszkańcy; 2) Zarząd związku składa się z przewodniczącego, zastępcy, sekretarza i 6 członków, obieralnych raz na rok. Głównym obowiązkiem zarządu jest wybieranie powieści do czytania i kierowanie sprawami Towarzystwa.

W trzy tygodnie po zawiązaniu się Towarzystwo liczyło już 46 członków. Główny agent kopalni węgla został obrany na przewodniczącego, a 2 posłów z g[illegible] ego okręgu do parlamentu, weszło do zarządu. Obrano także radę nadzorczą.

(Dokończenie nastąpi.)

3)

ZAJĄC.

POWIEŚĆ

przez

Adolfa Dygasińskiego.

Oto trąbka zagrzmiała w boru, strzały straszliwie huczą, pieśń prześladowcza psów gończych rozlega się po kniei. Sławny człowiek poluje na zające, a psy mu służą. Ah, ten niezmordowany Trafisz, idzie jak woda, tropi, pokrzykuje i całą zgiełkliwą psiarnię za sobą prowadzi. Po dwakroć na cel brano szaraka, padły podwójne strzały — „bęc, bęc"; no i on nie zginął. Czyż to jego zasługa? Miał szczęście! Tak, ale nikt sławnym nie został w inny sposób. — W Morzelanach wiele się mówi o myśliwstwie racjonalnem. Cóż za pociecha dla zajęcy, że je ludzie będą tępili racjonalnie? Kłusownik, wilk, lis, jastrząb odbywają łowy, ażeby głód zaspokoić: zdaje się, że i to jest racjonalne. Nie, ponieważ myśliwy racjonalny ściga kłusownika, tępi wilka, lisa, jastrzębia, ażeby za nich zjadać kąski, które i jemu smakują. Dla zająca — jeden djabeł.

Jakże on się mógł wychować w tak trudnych warunkach i wyjść na gracza? Zaraz tę historję opowiemy.

Jakoś w pierwszych dniach maja, gromada chłopaków i dziewcząt pod dozorem polowego plewiła chwasty w polu i jedna z dziewczyn spostrzegła przypadkiem zajączka, przyczajonego w bróździe. Ostrożnie podeszła i nakryła zwierzątko fartuchem, a potem je włożyła w zanadrze, mając nadzieję, że gdy wróci do chałupy, matusia uwarzy rzuru na tym zającu. Dowiedział się o tem polowy i dziewczynie zająca odebrał mówiąc: „Co jest na dworskich polach, to jest dworskie!" Zając, jako dworski, dostał się z zanadrza dziewczyny do kieszeni polowego, który również miał chęć jeść barszcz na zającu. Ale pojawił się w polu ekonom z wyżłem i pies, skoro tyko zawietrzył szaraka, ciągle go już wystawiał w kieszeni u polowego. Starszy zwierzchnik ma zawsze wyższe prawa do wszystkiego, co dworskie; przeto ekonom odebrał polowemu zająca i byłby go zaniósł do domu, gdyby się nie spotkał z panem rządcą, zwolennikiem racjonalnego myśliwstwa. Z rąk pana rządcy nareszcie dostał się szarak do dworu, w posiadanie dziesięcioletniego panicza, Kazia, który miał stąd ogromną uciechę i otaczał zajączka wielką troskliwością. Pomieszczony w pustym pokoju niewolnik zawzięcie bębnił po nocach, hasał i przytupywał, a okarmiano go tu jak najprzedniejszemi jarzynkami — złota niewola. Był zamiar oswojenia zająca do tego stopnia, ażeby jak pies chodził za nogą pana swego. Przeprowadzenie takiego wychowania wziął na siebie pan Filip, kucharz, który przekonał panicza, że zającowi należy przedewszystkiem obciąć słuchy i zawiesić dzwoneczek na szyi

— Bo — mówił z powagą kucharz — choćby w pole uciekł, będzie już znaczny, inne zające nie przyjmą go do siebie i musi znowu do dworu wrócić.

Myśl ta bardzo się podobała Kaziowi, a przeto pan Filip niezwłocznie w czyn ją wcielił. Szarak bezuchy i z dzwoneczkiem u szyi pędził w dalszym ciągu życie pokojowe, podrósł, zmężniał i gdyby nie obcięte uszy, byłby wcale gładkim gachem. Jednak ciasno mu widać było w czterech ścianach, gdyż się rzucał nieraz, rozbijał, biegał, jak szalony. Pewnego dnia znalazł niedomknięte przypadkiem drzwi więzienia, wymknął się i, przechodząc z pokoju do pokoju, zawędrował nareszcie do salonu.

Tutaj stanął przed wielkim zwierciadłem w ścianie, zadziwiony widokiem odbitej w lustrze postaci sobowtóra. Może mniemał, że ma przed sobą towarzysza i uczuł chętkę, aby z nim poigrać, gdyż zaczął nacierać na zwierciadło; widmo naśladowało każdy ruch jego. Bawiło go to, odskakiwał, stawał słupka, odsadzał się i z rozpędem wpadał na rzekomego szaraka.

Już sobie był dobrze łba narozbijał, kiedy wszedł Jan, kamerdyner, człowiek ogromnie poważny i surowy na punkcie porządku domowego. Swawola zajęcza oburzyła i zgorszyła Jana w najwyższym stopniu.

— Aa, takiej śmiałości to już zanadto! — mruknął kamerdyner, obrzucając szaraka zjadliwym wzrokiem i rzucił się zawzięcie na zwierzę, które śmiało hulać po salonie, jak w szczerem polu. Rozpoczęła się gonitwa, trwająca parę minut a zupełnie wyczerpująca cierpliwość Jana.

Zając wykazał nadzwyczajne zdolności, skakania przez krzesła, chowania się pod kanapami i dawania obrotów; przyparty nareszcie do muru, dał potężnego susa i buchnął w otwarte okno.

Bywają niekiedy tak dziwne zbiegi okoliczności, że im się zaledwie daje wiarę, choć są rzeczywiste. Los zdarzył, że zając, wyskakujący przez okno z wielkim rozmachem, spadł na łeb wyżła Nerona, który właśnie pod tę porę spokojnie coś ogryzał i niespodzianka ogromnie go przeraziła. Wydało się to psu niepojętem, cudownem, ażeby mu zając skoczył na nos, oczy, głowę. Porwał się więc Nero jakby oblany wrzącą wodą, wziął ogon pod siebie i co tchu zmykał. Opamiętał się dopiero po jakiejś chwili, zmiarkował, że psu nie wypada tchórzyć przed zającem i powrócił do ogryzania.

Ma się rozumieć, szarak również przerażony spotkaniem nos w nos z wyżłem, w nadzwyczajnym strachu sadził w pole, a miał pod sobą młode, wypoczęte skoki.

Wieść o zniknięciu zająca szybko rozeszła się we dworze, a ponieważ Jan miał powody taić

prawdę, przeto pole domysłów stało otworem. Ktoś ze służby widział Nerona ogryzającego gnaty — ogromne prawdopodobieństwo, że to kości zajęcze. Nic łatwiejszego, jak hypotezę podnieść do godności prawdy. Stopień pewności wzrósł jeszcze, gdy kucharz, znawca anatomji, odnalazł tu i owdzie porozwłóczone kostki szaraka. Przytem Nero używał od jakiegoś czasu złej opinji.

Ponieważ pracował poważnie na zbawienie duszy i bez najmniejszej obłudy nosił w sobie ideał świetnego człowieka, przeto opadały go nie raz także myśli, jakie oblegają umysł naiwnego i dobrodusznego dziecka. Chciał sobie naprzykład przełożyć na ludzkie słowa pieśń, którą skowronek śpiewa na chwałę Panu Bogu. Innym razem powstały pytania: „Po co Bóg stworzył kamienie na polach?“ Gdy objaśnienia w swej głowie nie znalazł, rozum mu odpowiadał: „Wie Bóg co robi“. — Albo: „Czy święci chadzali na polowanie?“ — „Musieli, skoro myśliwi mają w niebie swojego patrona!“

Pewnego dnia o zmierzchu szedł koło lasu i usłyszał huk wystrzału — a miał obowiązek ścigać kłusowników.

Zapuścił się w gąszcze i po jakiej chwili stanął oko w oko naprzeciwko Jaśka Tetery z Malwicz.

Dwaj bracia spotykali się niekiedy, jeden drugiego witał z daleka, uchylając czapki, ale nigdy między nimi nie przyszło do rozmowy. Tetera był to pan w porównaniu z Malwą: miał zagrodę, parę koni, krowy, trzodę chlewną, owce. Strzelec widywał, jak przed kościół zajeżdżała w święta Teterzyna i trzy córki — w kapeluszach, rękawiczkach, z parasolkami. Wiedział, że jest stryjem tych dziewczyn, a nie śmiałby się do nich zbliżyć w swojej kapocie starej podartej. „Tylko Pan Bóg nie stoi o to, jak się kto ubiera“. One też udawały, że go nie widzą, nie wiedzą, co za jeden. Podobały mu się jednak. „Dziewuchy, jak łanie! Zawszeć to krew ta sama“. Nie wiedział jak im na imię; tylko jedna z nich, najurodziwsza, przypominała mu rysy nieboszczki matki. „Gdy Pan Bóg kogo od dziecka na sieroctwo skazuje, to go w dobroci swojej ciężko doświadcza“.

A teraz oto stał naprzeciw niego Jasiek Tetera i pierwszy wyciągnął rękę, mówiąc:

— Cóż ty, braciszku, ciągle tak odemnie stronisz?

Pierwszy raz w życiu człowiek przemawiał do Malwy „braciszku“ i robił mu wyrzut za obojętność, jak gdyby on, Tetera, kochał i pożądał brata, a brat go unikał. Serce młotem poczęło walić w piersiach strzelca: ono widać oczekiwało na tę chwilę, kiedy do niego w języku ludzkim ktoś przemówi: „Braciszku, dlaczego odemnie stronisz?...“ Nie było to przykazanie miłości bliźniego — nakaz „kochaj!“

Malwa słyszał żywy głos serca braterskiego, które wyznawało swą miłość i czyniło mu wyrzut za obojętność, za brak wzajemności. Przyszedł ścigać kłusownika, odebrać mu strzelbę, zabitą zwierzynę, a spotkał brata.

Tetera spokojnie podniósł zastrzelonego właśnie zająca, zawiesił strzelbę na ramieniu, trącił Malwę, mówiąc: „Pójdź!“ Strzelec szedł, sprawiało mu to jakąś nieznaną dotąd radość, że idzie z drugim człowiekiem.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

Z pism.

„List z nad Newy“, umieszczony w 27. nr. „Przeglądu Tygodniowego“, omawia między innemi uroczystości, któremi Rosjanie święcili pięćdziesiątą rocznicę zgonu znakomitego swego krytyka i myśliciela, Wisarjona Bielińskiego. Nie uchyliła się, nie śmiała uchylić się od nich i prasa reakcyjna, jakkolwiek Bieliński był za życia niezłomnym szermierzem postępu i zwracał ostrze niezrównanego swego pióra przeciwko tym, co „na tłum patrzą nie jako na siłę, która podatnie ugina się przed potęgą genjuszu, lecz jako na stado, które można pędzić przed siebie, gdzie się podoba pierwszemu lepszemu mędrkowi“ (czytaj: carowi).

Bieliński należał do wybranych, którym ducha nie złamał moskiewski despotyzm. Jak uwięziony orzeł, bił skrzydłami myśli w kraty niewoli aż stargał przedwcześnie siły w nierównej walce i umarł w 38 roku życia, pozostawiając ojczyźnie bogatą puściznę literacką, obejmującą dziesięć grubych tomów.

Charakterystyczne światło na ówczesne stosunki i na samego Bielińskiego rzucają szczegóły o ostatnich chwilach sławnego pisarza, które „Przegląd Tygodniowy“ powtarza za „Istoriczeskim Wiestnikiem“: „Kiedy w trzecim wydziale wydano rozkaz aresztowania Bielińskiego, do mieszkania jego wkroczył wieczorem oficer żandarmski z kilku podwładnymi. Nieoczekiwani ci goście weszli wprost do sypialni, gdzie, majacząc w gorączce, leżał konający. Przy łożu jego znajdowali się, żona, doktor i kilkuletnia córeczka. I oto — gdy umierający dostrzegł we drzwiach głowy kilku żandarmów, wziął ich w gorączce za tłum ludu. Uniósłszy się więc śpiesznie z poduszek, zwrócił się do nich z płomienną mową, popierając ją żywą giestykulacją. Ale gdy żandarmi przerażeni milczeli, chory wywnioskował z rozpaczą, że lud go nie rozumie i urwał nagle. Wtedy oficer dał milczący znak ręką i wszyscy wyszli z pokoju. Tegoż dnia, generał doniósł w raporcie naczelnikowi trzeciego wydziału, że „znany autor, Bieliński, nie mógł być aresztowany, gdyż dokonywa się nad nim sąd Boży“.

Pozostała z dwojgiem dzieci wdowa, walczyła przez długie lata z nędzą, podejmując się najcięższych robót, byle zapracować na chleb dla dzieci, które w zimie tygodniami nieraz nie opuszczały łóżka, aby nie zamarznąć w nieopalonem mieszkaniu. Warunki te zabiły młodszą dziewczynkę, starsza doczekała się pomyślniejszych dni...

Czcionkami »Drukarni Polskiej« we Lwowie. (Pasaż Hausmana).